

Stado – 12 – Skok

19 listopada 2010

„Doskonałe są zmysły, mówią. Od zmysłów wyższy jest umysł, a od umysłu wyższy jest rozum. Ten natomiast kto stoi ponad rozumem, to On”

Bhagawadgita III – 42

Na miniaturowym lądowisku Stacji stały w pełnej gotowości trzy piękne, nowiutkie, ośmioosobowe pojazdy czasowe, przypominające rozmiarami i kształtem pamiętny pojazd Asmo. Skonstruowane wysiłkiem setek ludzi, wyposażone na miarę aktualnych możliwości technicznych armii. Nadzieja całego przedsięwzięcia. Podstawowy skład osobowy załóg był już ustalony i teraz wszyscy załoganci oraz stali pracownicy Stacji, czekali niecierpliwie na jutrzejszą, wspólną odprawę. Tymczasem ściśle kierownictwo zamknęło się dziesięć godzin temu w bibliotece i nikt jak dotąd nie wiedział co z tego wyniknie. Żartowano, że odbywa się ostatnie konklawe.

Mówił Warren.

– Podkreślam kolejny raz. Cała akcja jest niezwykle niebezpieczna. W każdej chwili możemy być czymś zaskoczeni, tak jak z rejestracją pamiętnego kontaktu. Do tej pory obie panie kapitanowe oraz ekipa Harpera nie mogą się nadziwić jakim cudem wszystko co zdołano utrwalić i zapisać, to jakieś niewyraźne plamy i nic nie mówiące przebiegi oscylograficzne. Bezsensowne kolumny liczb. Tacy są Obcy. Nieokreśleni, nieobliczalni, niebezpieczni. Powtarzam – nieprzygotowani całkowicie, działając pośpiesznie, ryzykujemy losem własnym i całej ludzkości.

– Jednym słowem – Ronson założył nogę na nogę i wydmuchując misterne kółka dymu patrzył w błękitny sufit biblioteki, – namawiasz nas Steven do wstrzymania całej akcji w imię bezpiecznego, choć upokarzającego znanego?

– Nie! – Warren aż podskoczył – Ja tylko głośno myślę i zastanawiam się czy nie byłoby mądrzej poczekać jeszcze jakiś czas i lepiej, precyzyjniej, dopracować wszystkie szczegóły. Ja się po prostu... boję.

– Ale my nie możemy już czekać – Koen poparł Ronsona. – Jeżeli Bóg nam sprzyja to niech się wreszcie to diabelstwo skończy.

– A jeżeli nie sprzyja? – Ti jak zwykle prowokował Koena.

– To tym bardziej należy ryzykować, licząc tylko na własne, choćby niewystarczające siły – Caster także był zdeterminowany.

– No cóż – Warren wydawał się być zrezygnowany ostatecznie. – Widzę, że na nic moje słowa. W najgorszym razie stracimy bezpowrotnie tę jedyną, jak myślę, szansę na samodzielność. Dla społeczeństwa nic się przecież nie zmieni, gdyby co. W takim razie pozostaje nam rozdysonować przydziały i przygotować się solidnie do jutrzejszej odprawy.

– Tu nie ma czym dysponować – Ronson był nieustępliwy. – Ty, razem z Ti, tak jak kiedyś sugerowałeś, zostajecie. Obcy może was potrzebować i w razie niemożności kontaktu wszystko by się wydało. Również w razie niepowodzenia misji, ktoś musi fachowo podjąć dzieło na nowo. Poza tym, tylko wy posiadacie całościową dokumentację generatorów RC, emitorów antygrawitacyjnych i wszystkich, matematyczno – fizycznych podstaw uruchamiania sztucznych czasoprzestrzeni.

– Koniecznie chcesz być głównym bohaterem? – Ti w jakiś dziwny, sztuczny sposób przestał być oględny. – Koniecznie chcesz oglądać filmy i czytać książki na swój temat?

– Czemu nie?

– Czy to... z jej powodu? – spytał złośliwie Warren, odgrywając się pewnie za niemożność udziału w wyprawie.

– Steven, przestań – odburknął Ronson i zgasił brutalnie spory

jeszcze kawałek cygara.

Ostatnio wszyscy robili mu łagodne co prawda i życzliwe aluzje w związku z Susan. Nie przejmował się tym zbytnio, jednak na dłuższą metę mogło to być irytujące. I nawet było.

– W takim razie – kontynuował Caster przecierając metodycznie okulary – ostatecznie ustaliśmy skład ekspedycji. Każdy pojazd ma dowódcę i siedmioosobową załogę. A więc Harvey plus siedmiu, Kris plus siedmiu i ja plus siedmiu. Startujemy jednocześnie. Ty Steven, oraz Ti, odczekujecie miesiąc i następnie, jeżeli nie powrócimy, martwicie się co dalej. Miesiąc to maksymalny, dopuszczalny błąd, wynikający ze skończonej dokładności pokładowych zegarów cezowych, synchronizujących wejścia czasowe aparatury. Zgoda?

– A niech was szlag. Zgoda – potwierdził Warren a Ti kiwnął smutno głową. Konklawe zakończyło się pomyślnie.

Nazajutrz, o godzinie dziesiątej, w małej salce konferencyjnej, siedziało około trzydziestu osób, bezpośrednio zainteresowanych wyprawą, oraz dokumentująca to wydarzenie dla potomności, ekipa Harpera. Oczywiście z zapłakaną Susan. Oczywiście też, nie obyło się bez ceremonii.

– Panowie! – zagaił wyjątkowo poważny Ronson. – Nadszedł czas działania. Na razie nie znacie dokładnie celu i wszystkich powodów wyprawy, które wyjaśnimy sobie już na miejscu. Tak ma być. Niemniej zgodziliście się na nią bez wahania. Dzięki za to. Dodam jeszcze, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nasze pomniki będą stały na każdym większym placu. Nie tylko w tym kraju i ... nie tylko na tej planecie. Zwłaszcza, że rzecz jest cholernie niebezpieczna. Jednak o szczegółach dowiecie się w swoim, że tak powiem, czasie. Teraz tylko drobne sprawy organizacyjne. Proszę generała Hartnella.

Generał podniósł się z fotela i okazało się, że ten stary wyjadacz wojskowy jest wzruszony.

– Panowie! Jesteście najlepszymi synami tego wspaniałego kraju. Zostaliście wybrani z ogromnej grupy chętnych. Wszyscy jesteście bezdzielnymi kawalerami, oficerami, i najlepiej wyszkolonymi w swoich dziedzinach specjalistami. Niech już samo to uzmysłowi wam rangę i ryzyko przedsięwzięcia. Dysponujecie najnowocześniejszym, nieznanym jeszcze nigdzie sprzętem bojowym i latającym, wybudowanym wielkim wysiłkiem finansowym państwa. To coś, to cholerne coś, o czym mówiąc prawdę, też mam niewielkie pojęcie, musi się udać.

Przerwał na chwilę by wytrzeć spocone czoło wielką, kraciastą chusteczką.

– Od tej chwili waszymi bezpośrednimi i jedynymi przełożonymi są panowie Ronson, głównodowodzący akcją, i jego zastępcy – pan Caster i pan Koen, uczestniczący bezpośrednio w misji. Panowie Warren oraz Ti zostają na Stacji, dla nadzoru wszelkich działań... po tej stronie... e, czasu. Życzę powodzenia.

Hartnell usiadł na swoim miejscu i ponownie użył wielkiej chusteczki, tym razem do głośnego wytarcia nosa. Nareszcie nadszedł czas startu i cała grupa wyszła na lądowisko. Rozpoczęły się pożegnania i uściski rąk. Pierwszy raz, publicznie, Ronson objął pociągającą nosem Susan, jednak nikomu nie było w tej chwili do żartów.

Na pożegnanie Warren podał Ronsonowi małą kasetę z niezwykle tajnymi danymi na temat Obcych, prosząc o jej odtworzenie dopiero po przybyciu na miejsce i uruchomieniu strefy. Uścisnęli się, po czym obsługa podstawiała do każdego spodka małe, dwustopniowe schodki, pokryte na tę okazję czerwonym zamszem. Załogi weszły powoli do swoich pojazdów, zamykając za sobą włazy. Symbolicznie, dla podkreślenia nastroju, wykonano to jednocześnie. Operatorzy grubego Harpera nie próżnowali.

Cała, pozostająca na Stacji ekipa, z Warrenem i Ti na czele, ustawiła się w odległości kilkudziesięciu metrów od maszyn, obserwując ich start. Warren dał znak ręką i po chwili,

ziemskiej już konstrukcji, nieco nieporadne jeszcze spodki, kolejno zaczęły się spokojnie, bezgłośnie wznosić, by następnie, jeden po drugim, okrążywszy przepisowo zewnętrzne zabudowania Stacji, skierować się specjalnym kursem na południe.

* * *

Pilot Ronsona, prowadzący tę mini eskadrę, tak jak i pozostali, znający już wszelkie tajniki pojazdu, jego niezwykle możliwości i niektóre niestety mankamenty, nie rozwijał początkowo zbyt dużej prędkości, jako że na razie musiał być dobrze widocznym przez pozostałych dwóch, podążających za nim. Nie używali niepotrzebnie lokalizatorów satelitarnych, nie chcąc powodować zamieszania radiowego, niepotrzebnego rozgłosu. Operacja była przecież tajna.

Tak więc nad wyjątkowo spokojnymi o tej porze wodami Pacyfiku, wzdłuż południka 163 stopnia, leciał na niskiej wysokości tajemniczy, nigdzie nie anonsowany klucz trzech dziwnych maszyn. Zdążali na jedną z małych wysp archipelagu Cooka, wskazaną przez wojskowych geologów jako idealną do założenia bazy. Cały ten rejon był podobno od milionów lat bardzo stabilny tektonicznie, tak, że nie musieli się obawiać niespodzianek ze strony matki ziemi.

Po piętnastu minutach spokojnego lotu na precyzyjnie utrzymywanym kursie, pilot Ronsona przyśpieszył jako pierwszy. Niezwykła maszyna osiągnęła w mgnieniu oka prędkość czterech Machów, aż wszystkich wewnątrz wcisnęło porządnie do obszernych foteli. Przeciężenia wewnętrzne były głównym ograniczeniem dynamiki pojazdu załogowego. Niestety, nie rozwiązano jak dotąd problemu pozbycia się masy bezwładnościowej ludzi podczas lotu. Inaczej niż w, jak się wydaje, doskonałych pod tym względem pojazdach Obcych.

Wylądowali kolejno, jeden po drugim, na jednej z bezludnych od zawsze wysepek, po czym wyszli z pojazdów na krótki, godzinny

odpoczynek. Podświadomie żegnali się ze swoim światem, czasem. Pod wieczór ponownie uformowali trójkątny szyk i przemieścili się wolno nad wskazany na mapach rejon oceanu w którym mieli dokonać skoku w przeszłość. Gdyby akurat przepływał tamtędy jakiś statek czy przelatował samolot, natychmiast w świat poszłyby barwne, wewnętrznie jak zwykle sprzeczne relacje o dziwnych manewrach UF0. Na szczęście okolica była zupełnie pusta.

Po ostrożnym wodowaniu, rozmieścili w głębinie dwadzieścia cztery samobieżne, samowystarczalne, miniaturowe boje podwodne, zawierające synchronizowane ultradźwiękowo emitery polowe. Powstał regularny, podwodny wielościan, wewnątrz którego miała zaistnieć autonomiczna, niezależna od wpływów zewnętrznych czasoprzestrzeń. Zanurzyli się pojazdami do wnętrza tej strefy, unieruchomili je i wykonali pomiędzy sobą kilka pomocniczych połączeń przewodowych, gwarantujących niezakłóconą komunikację. Wszystko było gotowe i czekali teraz na rozkaz Ronsona.

Ronson sprawdził dwukrotnie stan urządzeń, wszelkie nastawy aparatury nawigacyjnej, odebrał szczegółowe meldunki techniczne z bliźniaczych spodków, po czym spokojnym głosem powiedział do mikrofonu łączności lokalnej:

– Ruszamy panowie. Niech się stanie.

Wcisnął przycisk startu i strefa powolutku zaczęła pracować, zgodnie z założeniami przeistaczając się w niewrażliwą na nic, samoistną, podwodną czasoprzestrzeń, zawierającą w sobie trzy statki załogowe z dwudziestoma czterema ludźmi na pokładach, kilka tysięcy ton wody morskiej i może kilkanaście sztuk jakichś przypadkowych, dwudziestowiecznych rybek.

Następnie, po zatrzaśnięciu, komputer sterujący synchronizacją emitorów, skokowo „rozzerował” współczynnik symetryczności fali popychającej i cały ten układ, cały ten podwodny wielościan, samoistny miniaturowy wszechświat, zaczął się

gwałtownie wznosić po płaszczyźnie czasowej. Ku nieznannej przeszłości. Sensory optyczne nieustannie podawały średnią dobową oświetlenia do komputera nadzorującego, po to by istniała możliwość korekcji głębokości zanurzenia w razie nieoczekiwanych, geologicznych zmian poziomu oceanu.

W obłędnym tempie czterystu lat na sekundę, zagłębiali się w dzieje. Po dwóch godzinach, komputer główny zatrzymał łagodnie przesuw czasowy. Teraz należało ostrożnie, stopniowo, wyłączyć strefę. Mogło bowiem się tak zdarzyć, że ciśnienie wody wewnątrz niej będzie inne niż ciśnienie zewnętrzne, a wtedy gwałtowne wyłączenie mogło spowodować coś w rodzaju ogromnej eksplozji bądź implozji wodnej.

Po kilkunastu minutach ciśnienia były wyrównane. Wszystko wydawało się być w zupełnym porządku. Zebrano więc boje emitorów i trzy, wzajemnie synchronizowane pojazdy, zaczęły się powoli, ostrożnie wynurzać z innego już czasowo i pewnie nie tylko oceanu. Był dzień. Piękny, słoneczny ranek, trzy miliony lat przed Chrystusem. Niebo intensywnie niebieskie, z delikatnym odcieniem zielonego. Inne niebo. Ani jednej chmurki. Jak okiem sięgnąć żadnego ruchu, żadnego życia. Przynajmniej w powietrzu.

Skierowali się nad bazową wysepkę, lecz jak było do przewidzenia, nie mogli jej znaleźć. Albo jeszcze nie zaistniała, czego wojskowi geologowie nie byli pewni, choć sugerowali taką możliwość. Mogło też się zdarzyć, że wysepka, wędrując wraz z ruchomą przecież skorupą ziemską, znajdowała się całkiem gdzie indziej. Ziemskie bieguny magnetyczne też pewnie nie były tam gdzie powinny. Zupełnie inny świat.

Ronson zarządził poszukiwanie lądu po południkowym kursie żyroskopowym i cała trójka, w przeciwieczonym już szyku, poszybowała nisko nad oceanem, w kierunku północnym.

Po kilku minutach lotu trafili na małą, płaską wysepkę, całą porośłą wielkimi palmami. Wylądowali na niewielkim, odkrytym

wzniesieniu, po czym ostrożnie wyszli z pojazdów.

Powietrze było krystalicznie czyste i wydawało się, że wystarczy tylko oddychać by być nasyconym, przepełnionym energią. Nie zdejmowali jednak ultrafioletowych ochroniaczy bakteryjnych, bojąc się zakażenia nieznanymi chorobami. Wokół słychać było podniecone krzyki ptaków, wystraszonych obecnością dziwnych istot i pojazdów. Spięty, zdenerwowany Ronson, zarządził kilkudniowy biwak. Ekspedycja musiała się trochę rozejrzeć w tym starym, młodym, świecie. Najważniejsze to to, że nie musieli obawiać się Obcych. Ich tu przecież jeszcze nie było.

Podczas gdy reszta załogi instalowała obozowisko, rozglądając się wokół podejrzliwie. Ronson, Caster i Koen siedzieli w pomieszczeniu dowódczym pojazdu Castera i próbowali ustalić szczegóły dalszego postępowania.

– Proponuję możliwie szybko ustawić przynajmniej dwie pułapki
– Ronson nie miał ochoty siedzieć bezczynnie.

– Gdzie? – spytał Koen.

– No, na przykład w okolicy Jowisza i Marsa.

– Musimy wykonać rozpoznanie astronomiczne – przypomniał Caster.

– Oczywiście. Ale to zajmie jakieś dwie, trzy doby, nie więcej.

– I co dalej? – Koen najwyraźniej chciał utrwalić w pamięci szczegóły planu.

– Następnie czeka nas straszna harówka przy pracach kartograficznych. Powinniśmy przecież możliwie dobrze orientować się w geografii tej planety. W końcu to Ziemia, nasz... przyszły dom, cokolwiek ma to znaczyć. Bezzwłocznie też nasi biolodzy muszą przygotować szczepionki, uodparniające nas na tutejsze, zapomniane przez naszą immunologię choroby. Nie

możemy wiecznie chodzić w tych niewygodnych ochraniaczach.

– Jasne – Caster z przyjemnością obserwował u Harveya pozytywne zmiany jakie się w nim ostatnio dokonały. Przestał już być upartym, zbuntowanym przeciwko wszystkim samotnikiem. Stał się kimś wysoce odpowiedzialnym za Zespół, za kraj, za... ludzkość. Nie bez wpływu Susan, jak przypuszczał. Jak on wytrzyma te kilka, może kilkanaście miesięcy?

– Dobra, Kris – powiedział dziarsko. – Dawaj te mapy nieba, przygotowane przez Warrena i jego ludzi.

– A propos, zapomniałbym – Ronson klepnął się w kolano – posłuchajmy jego kasety.

– Jakiej kasety? – spytał Koen, szukając w metalowych szufladach map, przedstawiających prehistoryczny, czyli właśnie aktualny, układ gwiazdozbiorów obu półkul.

– Tej którą dał mi przy pożegnaniu.

Ronson wyjął z kieszeni kombinezonu małą kasetę DAC i włożył do odtwarzacza. Włączył urządzenie.

„Harvey, Sid, Kris. Mam nadzieję, że w tej chwili tylko wy jesteście obecni przy odtwarzaczu. Przyszedł czas na prawdę. A prawda czasem zabija, więc oszczędźcie na razie pozostałą załogę.”

Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

„Wszystko co wiecie o nas długowiecznych, o Obcych, i tak dalej, to rzetelne fakty. Z małym wyjątkiem. W rzeczywistości to my jednak pracujemy wyłącznie dla Obcych. W stu procentach.”

– Chryste, co to jest? – Koen nagle się spocił jak myszka kościelna.

– Nie wiem Kris. Słuchajmy dalej – odpowiedział głucho Ronson.

„- I to wcale nie z powodu strachu czy jakichś tam korzyści. Myśmy tak wybrali. Wszyscy. Ti, Graham, inni. A powód jest dość prosty. Nienawidzimy ludzkości jako takiej. Nienawidzimy z całego serca, z całych naszych nieludzkich sił. Od wieków. I nie jest to skutek wrednej, podstępnej indoktrynacji Obcych. Oni to mają gdzieś.”

– Nie wierzę! – krzyknął przeraźliwie Koen.

– Zamknij się Kris! – Ronson o mało nie skoczył mu do gardła.

„Początkowo, niesamowicie przez nich obdarowani, bawiliśmy się tym wszystkim jak dzieci. Po latach, w miarę gromadzenia wiedzy, doświadczeń, w miarę przeżywania kolejnych, niezapomnianych wcieleń, rósł w nas bunt. Najpierw do Obcych, że tak nieudolnie skonstruowali człowieka, tak lekko potraktowali nasz zwierzęcy rodowód. Kilku z nas musiało z tego powodu odejść. Następnie przyszło zrozumienie całej, wstrętnej przecież prawdy. Obcy, owszem, korzystają obficie z tej ludzkiej kloaki, jednak już coraz mniej ingerują. Od tysięcy lat praktycznie wcale. Hodowla ustabilizowała się genetycznie i nie wymaga już tak intensywnej kontroli. Mało tego. Próbują łagodzić ludzkie wybujałe emocje i instynkty. Daremnie. Człowiek, jak się okazuje, jest nieodwracalną, krwawą bestią, niepoprawnym uporczywym mordercą, szalonym zwyrodnialcem i głupkiem. Na zawsze. Tych kilku osobników, takich jak wy, niczego tu nie zmienia. Cała reszta to jeden wielki, ropiejący coraz bardziej strup na rozkwitającej w spokojnej, przychylnej współpracy, różnorodnej, rozwijającej się społeczności kosmicznej. Bez nieustającej, bzdurnej walki o władzę, o wpływy. Bez codziennego, do ostatka tchu, zabiegania o byle szkiełko, byle gadżet. Bez tej bezbrzeżnej głupoty, wylewającej się całymi wodospadami z wszelkich, możliwych głośników, ekranów, łamów. Bez tego oceanu pychy, zaskorupienia w sobie, bez tej bezinteresownej agresji, skrajnie irracjonalnej nieprzychylności wszystkich do wszystkich. To jest właśnie wasza ludzkość. Beznadziejnie, od wieków, niezmienna. Bydło, bez żadnych już szans na

uczłowieczenie.

Dlatego, wspólnie, cała dwunastka i... Lucy, przedstawiciel Centrum, postanowiliśmy:

Po pierwsze nie można dopuścić by tak wielkie możliwości techniczne jak darmowa energia, niesamowite zdolności pokonywania przestrzeni i przede wszystkim czasu, trafiły do tak upapranych krwią pazurów. Już wystarczy gdy oszalała ludzkość dysponuje bronią jądrową. Prędzej czy później nastąpi samoistny koniec tego żałosnego, śmierdzącego balu.

Po drugie, czas jest zjawiskiem bardziej psychicznym niż fizycznym, i nad wyraz przy tym skomplikowanym. Obcy, różni zresztą Obcy, znają te zagadnienia o całe nieco lepiej niż my, wy, i posługują się tą wiedzą bardzo ostrożnie i rozsądnie. Z korzyścią zresztą dla wszelkiego sensownego istnienia. W związku z tym, jesteście panowie skazani na nieodwołalne pozostanie tam gdzie jesteście. Przykro mi, ale przechytrzyliśmy was. Co prawda nie sprawia mi to, mówiąc prawdę, żadnej satysfakcji, gdyż akurat Wy nie zasłużyliście na to. No ale cóż. „Cartel est notre bon plaisir” – taka jest wola sprawujących władzę, jak skomentował po swoim sprawę de Beaune. Na tym etapie wiedzy i przy tym wyposażeniu jakim dysponujecie, lekko przez nas zmodyfikowanym w ostatniej chwili, możecie wędrować jedynie w przeszłość. Tylko po co?

Po trzecie powinniście się raczej cieszyć z takiego rozwiązania. Będziecie sobie spokojnie żyć w pięknym, dziewiczym świecie, z dala od tego bulgocącego gówna – co prawda bezpotomnie z powodu braku kobiet, ale i tak jest to lepsze niż śmierć, którą usilnie zalecali dla was niektórzy, co bardziej radykalni Obcy. Dla pewności, jako, że ty Harvey i Sid, jesteście prawdziwymi mózgowcami i teoretycznie rzecz biorąc, moglibyście nam zrobić jakąś niespodziankę, będziecie cały czas pod naszą czułą kontrolą. I naprawdę nie ma się czym za bardzo martwić. Odrodzicie się jeszcze wielokrotnie aż zdobędziecie pewnego dnia tę świadomość, która pozwoli wam

uznać takie rozwiązanie za zupełnie prawidłowe i wierzcie mi, optymalne. Żegnajcie więc, a raczej do widzenia, mam nadzieję, w następnych klasach.”

Siedzieli wszyscy trzej bez słowa i patrzyli bezmyślnie w ucichły już dawno głośnik. Nagle Koen zerwał się gwałtownie i wybiegł na zewnątrz, na piękny, pachnący, pulsujący ptasim świergotem, nieskażony jeszcze ludzkością świat. Stał w pełnym słońcu i trzęsąc się jak paralityk, zadarł głowę. Podążyli odruchowo za jego wzrokiem.

Wysoko, na tle tak krystalicznie czystego błękitu, że wydawało się, iż wystarczy tylko silniej wyteńczyć wzrok by zobaczyć prześwitujące gwiazdy, wisiały nieruchomo trzy okrągłe, czarne punkciki, rozłokowane symetrycznie w wierzchołkach trójkąta równoramienneo o kilkusetmetrowych bokach.

– Wy podstępne skurwysyny! – wycharczał w niebo zgnębiony do cna Koen i padłszy na bujną, wczesnokenozoiczną trawę, rozpłakał się jak dziecko.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”